1847. Nr 10. d. 1 Kwietnia. ROK 6.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

HISTORYA MAGNETYZMU.

(Dalszy ciąg.)

O działaniu Magnesów na ciała zostające w spoczynku lub ruchu.

Przed Kulombem napróżno fizycy usiłowali upatrzyć ślady magnetyzmu we wszystkich ciałach, dla tego byli bardzo zdziwieni, gdy w r. 1802, wspomniony uczony przesłał Akademii umiejętności w Paryżu, szereg doświadczeń okazujących, że wszystkie ciała mają własność magnetyczną, w stopniu więcéj lub mniéj wyraźnym. Doświadczenie swoje zrobił on widocznem, gdy między dwa bieguny przeciwne dwóch mocnych prętów magnesowych, zawiesił na nitce bawełnianéj małe walce różnych ciał i takowe w ruch oscyllacyjny wprawił. Z początku powątpiewano czy działanie to pochodzi od magnetyzmu, lecz okażemy zaraz, iż to zjawisko rzeczywiście było magnetyczne. Późniejsze odkrycia stwierdziły ten wypadek, osobliwie doświadczenie bardzo ważne wykonane przez Arago, okazało: iż wszystkie ciała działają na igłę magnesową, to jest, zmniejszają jéj łuki oscyllacyi, nie zmniejszając ich liczby; poznano nadto, iż metale dzia-

łają z większą mocą aniżeli szkło, drzewo i t. p. Arago czyniąc doświadczenie dla nadania ruchu igle magnesowéj wolno zawieszonéj nad krążkiem metalowym, któremu wprzódy nadał ruch obrotowy, poznał, że działanie jakie odbiera igła przy téj saméj prędkości krążka, słabieje w miarę jak odległość igły od tarczy albo krążka się zmniejsza; że działania są mniejsze gdy tarcze są powycinane w kierunku promieni, aniżeli gdy są pełne. — Rozbierając to zjawisko Arago dla wyznaczenia kierunku siły powstałéj w krążkach obracających się, dochodził składających tę siłę, według trzech linij równoległych do trzech płaszczyzn spółrzędnych. Postrzeżenia zrobione przez Arago, stały się przedmiotem ważnych poszukiwań pp. Prevost, Colladon, Babbage, Herszla, Barlow, Nobili, Basselli, Christie i t. p.; nakoniec Faraday przyszedł ztąd do ważnego odkrycia strumieni elektrycznych przez wzbudzenie.

W roku 1825, Barlow dał poznać wypadki ważnych poszukiwań nad skutkami magnetycznemi sprawionemi w żelazie przez obrot; teorya matematyczna umiała z nich odnieść korzyści dla sprawdzenia wzorów podanych przez Poissona. Nie mogąc tu przytoczyć wszystkich rozwinięć teoretycznych, wskażemy tylko drogę, któréj się Poisson trzymał dla wskazania wypadków przyciągań i odpychań dwóch płynów, północnego i południowego, równie jak rozłożenie tego płynu we wszystkich ciałach magnesowanych. Podczas magnesowania, dwa płyny, północny i południowy, które są w stanie wolnym, bardzo mało oddzielają się jeden od drugiego. Nie możemy twierdzić stanowczo, czy cząstki ciał namagnesowanych, w których rozkład płynu wolnego się odbywa, są cząstkami tego samego ciała, przyjmujemy tylko, że ich wymiary są zawsze nadzwyczaj małe. Nazywać będziemy elementem magnetycznym, każdą z tych małych cząstek, których własność znamionująca zależy na tém, że ilość dwóch płynów jest tam równa, tak w stanie namagnesowania, jako i w stanie wolnym. Lecz aby wystawić zadanie w całéj ogólności, możemy sobie wyobrazić, że elementa magnetyczne nie są w bezpośredniém zetknięciu z sobą wewnątrz ciał namagnesowanych, lecz przeciwnie, że są w nich oddzielone jedne od drugich przedziałem pełnym lub próżnym, których dwa płyny nie mogą przeniknąć i że wymiary tych przedziałów od-

osobniających, są téj saméj wielkości co i wymiary elementów magnetycznych, chociaż stosunek jednych do drugich jest tenże sam w magnesach odmiennéj natury.

To założywszy, przyciągania i odpychania wywierane przez ciała zostające w tych samych okolicznościach będą odmienne, jak to doświadczenie okazało na Niklu i Żelazie. Ciała namagnesowane wystawić sobie można, jako zbiór cząstek magnetycznych przedzielonych przestrzeniami nieprzystępnemi dla magnetyzmu. Stosunek summy tych wszystkich cząstek do objętości całego ciała, którą można wziąść za jego gęstość pod względem magnetyzmu, będzie ułomkiem, który zbliżać się będzie więcéj lub mniéj do jedności według różnéj natury ciał. Stosunek ten dany być powinien dla każdego ciała w szczególności, działania zaś zewnętrzne będą powiększały lub zmniejszały natężenie siły magnetycznéj w miarę wielkości tego stosunku.

W rozprawie Poissona widzimy od jakich praw zawisły te działania; wskazuje on w niéj możność sprawdzenia teoryi przez doświadczenie, zmieniając dowolnie stosunek o którym mowa, to jest mieszając w stosownych proporcyach opiłki żelazne bardzo drobne z inną materyą niemagnetyczną i poddając potém te ciała pod wpływ bardzo mocnych magnesów a późniéj mierząc przyciągania i odpychania. Poisson zakłada, że moc przyciągająca i odpychająca dwóch płynów jest taż sama we wszystkich ciałach magnesowanych dla równych oddaleń i równéj ilości płynu. Wielkość wyrażająca stosunek summy objętości elementów magnetycznych do objętości całego ciała, które go składają, może zależeć od temperatury ciała, gdyż wiemy że ciepło rozszerza przedziały między elementami, a zbliża same elementa nie zmieniając w tym samym stosunku objętości bezwzględnéj. W tém założeniu przyciągania albo odpychania magnetyczne wywierane przez toż samo ciało, powinny się odmieniać z jego stopniem ogrzania, co téż rzeczywiście ma miejsce. Te są prawidła ogólne, które służyły za podstawę w rachunkach Poissona.

O Magnetyzmie Ziemskim.

Oznaczenie różnych pierwiastków składających wypadkową sił magnetycznych ziemi, już od dwóch wieków zajmowało fizyków, a osobliwiwie żaglarzy, którzy opłynęli ziemię. Narzędzia teraz używane do dochodzeń siły magnetycznéj, przy wielkiéj ścisłości łączą jeszcze łatwość w ich użyciu, tak dalece, iż obserwator mniéj nawet wprawny za pomocą nich, przychodzi do wypadków, na których dokładności można polegać. Nie poprzestano jednak na tém, gdyż w miejsce tak prostych i łatwych sposobów czynienia postrzeżeń, wprowadzono sposoby zawiłe, wprawdzie ścisłe, lecz oparte na wypadkach analizy, któréj rozwinięcie nie zawsze jest przystępne dla obserwatorów zwyczajnych, a które z trudnością w dalekich podróżach użyte być mogą. Tę zmianę w dostrzeżeniach magnetycznych wprowadził Gauss, łącznie z Weberem. Nie możemy tu opisywać narzędzi dawnych i teraźniejszych, służących do uważania magnetyzmu ziemskiego; powiemy tylko, że te dochodzenia wykonywają się dziś z wielką ścisłością, że w obserwacyach ma się wzgląd nie tylko na zmiany zachodzące w natężeniu magnetyczném igieł, ale nadto na wpływ ciepła i na przyciągania miejscowe pochodzące od przedmiotów zewnętrznych, jako to od sztuk żelaza znajdujących się na pokładzie okrętu gdzie są igły magnetyczne, lub zewnątrz blizko obserwatoriów magnetycznych.

Pierwsze postrzeżenia co do wpływów miejscowych na igły będące na okrętach, są oddawna znane, gdyż Wilhelm Denys, hydrograf w Dieppe, wspomina już o nich w dziele ogłoszoném w r. 1666.

Wales, towarzysz Cooka, w jego podróżach morskich postrzegał podobneż wpływy.— Od tego czasu w różnych zdarzeniach zajmowano się tym przedmiotem, podawano różne sposoby dla zabezpieczenia się od wpływów pochodzących z przyciągań miejscowych, lecz najprostszy i najdokładniejszy sposób podał Barlow, a ten polega na następującéj zasadzie:—Różne sztuki żelaza znajdujące się na pokładach okrętów, nabierają polarności magnetycznéj pod wpływem działania kuli ziemskiéj, te następnie przyciągają igły tak samo jakby prawdziwe magnesy. Tę zasadę przyjąwszy, Barlow utrzymuje, iż zmienia-

jąc tak oddalenie jako też wyniesienie kręgu z żelaza miękkiego, względem igły magnesowéj poziomej; można znaleźć takie położenie, iż krąg wywierać będzie działanie takie samo, jakie wywierają sztuki żelazne znajdujące się na okręcie. Wtenczas krąg ten stawiany z pewnéj strony igły, powinien zniweczyć wpływy przyciągań miejscowych; ta jest zasada na któréj polega użycie kręgu korrekcyjnego, powszechnie dziś używanego. Sztuki żelaza znajdujące się na pokładach okrętów nie tylko działają na igły magnesowe, ale nadto wpływają na bieg chronometrów, przez przyciąganie wywierane na sztuki stalowe, a szczególnie na kółko oscyllacyjne. Sposób zabezpieczający od tego wpływu winni jesteśmy również Barlowowi, który do tego używa kółka oscyllacyjnego kompensacyjnego. Przejdźmy w krótkości poszukiwania ściągające się do różnych elementów wypadkowéj sił magnetycznych ziemi.

Dostrzeżenia nad zboczeniem igły.

Podróżni, którzy opłynęli ziemię, zebrali w ciągu dwóch wieków wielką liczbę obserwacyj nad zboczeniem igły magnesowéj; lecz ponieważ w dostrzeżeniach przez nich czynionych na pokładach okrętów, nie miano względu na zmiany igły pochodzące z przyczyn miejscowych, dla tego ich obserwacye nie są wolne od błędów. — Hallej pierwszy starał się zebrać i uporządkować wielką liczbę obserwacyj wykonanych aż do jego czasu. W roku 1701 ogłosił on kartę, w któréj naznaczył linije równego zboczenia od 5 do 5 stopni. Z powodu ciągłych zmian dostrzeganych w zboczeniu igły w miarę doskonalenia sposobów obserwacyi, poznano, iż tablice Halleja były niedostateczne. Dla tego Montain i Dodsen w r. 1745 i 1746 ogłosili nową kartę zboczeń.—W r. 1787 Hansteen podał tablice dokładniejsze wystawiające zboczenia igły z dodaniem atlasu magnetycznego, w którym naznaczył wszystkie linie równych zboczeń. Barlow odnowił tę pracę w r. 1823. Kapitan Duperej w r. 1826 wydał nowe karty, w których zboczenia igły magnesowéj są wzięte według właściwego przeznaczenia, to jest, że one wskazują kierunek południka magnetyczne-

go w każdym punkcie, w którym obserwacya była wykonana, a następnie kształt całkowity linij krzywych mających tę własność, iż rozciągając się od jednego do drugiego bieguna, wskazują południki magnetyczne tych miejsc, przez które też linije przechodzą. Tysiące obserwacyj już jest wykonanych i jeszcze się odbywa na wielu punktach kuli ziemskiéj.

Zmiany wiekowe, roczne i dzienne w zboczeniu igły.

Zboczenie igły magnesowéj podlega zmianom wiekowym, rocznym, miesięcznym i dziennym. Jedne z tych zmian uważać można jako jednostajne, inne jako przypadkowe; te ostatnie objawiają się w pewnych okolicznościach atmosferycznych, jakiemi są: zorze północne, wybuchy wulkaniczne, trzęsienia ziemi i t. p. Oddawna zmiany wiekowe i roczne były postrzegane. Gauss i Weber dochodzili zmian rocznych, miesięcznych i dziennych za pomocą narzędzia zwanego magnetometrem przez nich zbudowanym.—Powiemy naprzód o obserwacyach najdawniejszych.—Z przyczyny braku dostrzeżeń wcześniejszych, nie możemy daléj sięgać jak do r. 1580; w tym czasie w Paryżu koniec północny igły zbaczał na wschód o 11 stopni 30 minut W r. 1663 znajdował się na południku; odtąd zboczenie przeszło na zachód. W r. 1814 doszło największéj ważności, potém zaczęło się zmniejszać.

Porównywając obserwacye wykonane w tych samych epokach w Londynie i Paryżu, poznano, iż największe zboczenie miało miejsce w tych dwóch miastach w r. 1580. Od r. 1657 do 1662 w Londynie zboczenia nie było, gdy tymczasem w Paryżu dopiéro w r. 1663 igła całkiem nie zbaczała;—największe zboczenie zachodnie przypadło w Londynie w r. 1815, a w Paryżu w r. 1814. Tak więc dwa największe zboczenia na zachód miały miejsce prawie w tych samych epokach w Paryżu i Londynie.

Dostrzeżenia wykonane na Przylądku Dobréj Nadziei, okazują, że i na południowéj półkóli zboczenie igły podlega tym samym prawom co i na północnéj, widzimy bowiem, że tamże zboczenie w r. 1605 było wielkie na wschód; od r. 1605 do 1609 żadnego nie było, a po-

tém przeszło na zachód, dosięgło największéj swéj ważności około r. 1791 i znowu teraz wraca się ku wschodowi.

Barlow wyprowadził z jednego wzoru zmiany postępowe i wiekowe, jakim podlega zboczenie igły magnesowéj, przyjmując, że biegun magnetyczny który działanie wywierał na igłę w Londynie w r. 1818 przypadał pod szerokością jeograficzną 75° 2', a długością zachodnią 67° 4'; wyprowadził on następnie ten wniosek, że ruch jednostajny igły w ciągu dziesięciu lat dochodził 14° 10'; na mocy tego wypadku wyrachował naprzód zboczenie dla Londynu dla przedziału czasu od r. 1660 do r. 1818; i znalazł różnice nieznaczne między rachunkiem a obserwacyami. Zmiany roczne igły magnesowéj zdają się zależeć od położenia słońca, w czasie porównania i przesilenia dnia z nocą. Cassini, któremu winni jesteśmy to postrzeżenie, doszedł, że zmiany igły były też same na powierzchni ziemi co i w piwnicy obserwatorjum paryzkiego, gdzie promienie światła nie dochodziły i gdzie temperatura była prawie niezmienna. Arago chcąc porównać dostrzeżenia wykonane w różnych miejscach, a w szczególności w Paryżu i Londynie, wziął pod uwagę zboczenie igły średnie z każdego dnia, które się otrzymuje biorąc połowę summy zboczeń, największego i najmniejszego; następnie zboczenie średnie z każdego miesiąca, to jest summę średnich z wszystkich dni miesiąca podzieloną przez liczbę tychże dni, znalazł, iż największe zboczenie igły przypada około równonocy wiosennéj, a najmniejsze w przesileniu letniém, z tą jednak różnicą, że obszerność łuku kołysań była mniejsza w Londynie niż w Paryżu, i że ruch wsteczny igły między równonocą wiosenną a przesileniem letniém, zmniejsza się w tym samym czasie co i ruch ogólny roczny ku zachodowi.

Oprócz zmian wyżéj wspomnionych, igła magnesowa co do zboczenia, podlega jeszcze zmianom dziennym, które teraz śledzą z największą pilnością. Począwszy od r. 1722, to jest epoki, w któréj Graham pierwszy odkrył te ruchy, ciągle śledzono ich postęp, a to w celu dojścia przyczyny tego zjawiska.

W Europie, koniec północny igły magnesowéj poziomo zawieszonéj, posuwa się każdego dnia od wschodu na zachód, od chwili w któ-

réj słońce wschodzi aż do godziny pierwszéj po południu; następnie ruchem wstecznym wraca ku wschodowi, tak, iż około godziny dziesiątéj wieczór, dochodzi prawie takiego położenia jakie miała z rana. Podczas nocy, igła zostaje prawie w spoczynku, następnego zaś dnia rozpoczyna na nowo swoje ruchy peryodyczne. Chociaż zmiany igły magnesowéj w naszych okolicach odbywają się jednostajnie od wschodu na zachód, jednak nie masz dwóch dni w roku, w którychby zmiany igły były zupełnie do siebie podobne; postrzeżenie to już oddawna stwierdzoném zostało obserwacyami Gaussa i Webera, którzy ścisłość w swych oznaczeniach aż do sekundy łuku posunęli. —Największe zboczenie igły nie przypada w téj saméj godzinie dnia na różnych punktach ziemi, jak to uważał Dove.

Ogłoszono, że w Danii, w Islandyi i w innych strefach północnych, ruchy dzienne igły magnesowéj były większe, jednostajniejsze, i podczas nocy nieustające. Z tego wniesiono, że zmiany dzienne powiększają się idąc daléj na północ, a zmniejszają, zbliżając się ku równikowi magnetycznemu, gdzie są najmniejsze. Postrzeżenia jednak nad zmianami dziennemi czynione na północy, w Bossekop, przez Bravais i Lottin, którzy należeli do wyprawy naukowéj wysłanéj na północ przed kilku laty, zmieniły nieco wyobrażenia jakie sobie robiono o zmianach dziennych igły w téj okolicy. Podczas nocy, igła rzeczywiście podlega tam widoczniejszym ruchom, aniżeli w naszych okolicach, lecz obszerność kołysań nie jest tak wielka jak z początku głoszono.

Podróżni zajmowali się poznaniem ruchów dziennych igły, na różnych miejscach kuli ziemskiéj. Dostrzeżenia wykonane przez John Macdonal w przeciągu od r. 1794 do 1796 w porcie Marlborough, na Sumatrze i na wyspie Stéj Heleny, prowadzą do dwóch ważnych wypadków: 1^{éd}, Że zmiany dzienne igły między zwrotnikami są daleko mniejsze aniżeli w Europie. 2re, Że w tych samych godzinach kiedy na półkóli północnéj koniec igły północny porusza się na zachód, na półkóli południowéj ruch tejże odbywa się w kierunku przeciwnym, to jest na wschód. Obserwacye późniéj przez Fraycinet i Duperrey czynione, potwierdzają pierwsze z tych podań.

Oprócz zmian jednostajnych, zboczenie igły podlega jeszcze zmianom przypadkowym, jak to widzieliśmy wyżéj. Pomiędzy przyczynami wpływającemi na wywołanie tych niejednostajności, mieścimy zorze północne, wybuchy wulkaniczne i trzęsienia ziemi. Arago należy do pierwszych badaczów, którzy się zajmowali sprawdzeniem wpływu Zorzy północnéj na igłę magnesową. Z dostrzeżeń czynionych w tym celu okazało się, że ruchy igły magnesowéj zmieniają się podczas trwania tego zjawiska, i to nie tylko w miejscach w których się takowe okazuje, ale i w okolicach odległych, gdzie zjawisko nie jest widzialne.

Wypadki ogólne, dotyczące się zmian zboczenia igły magnesowéj, któreśmy wskazali, otrzymane zostały z dostrzeżeń wykonanych bussolami zwyczajnemi; zmiany jednak igły magnesowéj, dochodzone w ostatnich czasach narzędziami wynalezionemi przez Gaussa, doprowadziły do innych następstw. Gauss nie przestając na czynieniu dostrzeżeń magnetycznych codziennie w obserwatorium w Getyndze, objawił życzenie, ażeby fizycy zajęli się w różnych punktach Europy obserwacyami stałemi w epokach oznaczonych, nazwanych *terminami obserwacyj*. Pierwszą myśl do takowego połączenia uczonych podał Humboldt, i przez to wywołał, że tak powiem, na całéj powierzchni kuli ziemskiéj zaprowadzenie obserwatoriów magnetycznych.—Wszędzie przyjęto chętnie to wezwanie. Nie możemy tu przytaczać nawet w skróceniu ważnych wypadków otrzymanych przez Gaussa, Webera i ich współpracowników; powiemy tylko, że linie krzywe wykreślone w celu wystawienia zmian magnetycznych różnego rodzaju, dowodzą, że okolice najdaléj na północ posunięte, zdają się być ogniskiem głównem, z którego najczęściéj i największe wypływają siły zmieniające, i że w różnych miejscach i ruchach następnych igły, natrafiamy na zmiany znaczne co do ich wielkości; a jednak pomimo to, podobieństwo jest widoczne; tak dalece, że często z dwóch ciągów linij krzywych w jedném miejscu, pierwsza jest większa, gdy przeciwnie w inném miejscu, większa jest linija druga. Z czego wnosić potrzeba, że tegoż samego dnia i w tejże godzinie, wiele sił działać może niezawiśle jedne od drugich, mających odmienne źródła, w których

działania łączą się w stosunkach bardzo odmiennych, zależących od ich położenia i odległości. Siły te wpływają wzajemnie na siebie tak dalece, że jedna zaczyna dopiero działać wtenczas, gdy druga jeszcze nie ustała. Wśród tego zbiegu sił, trudno jest śledzić postęp zjawiska, jednak spodziewać się można, że uczeni kiedyś przyjdą do odwikłania różnych przyczyn zmieniających, gdy współudział w obserwacyach równoczesnych większéj nabędzie rozciągłości.

Obserwacye odnoszące się do nachylenia igły.

Dostrzeżenia co do nachylenia igły, zatrudniały podróżnych, równie jak dostrzeżenia nad jéj zboczeniem; te jednak ostatnie są więcéj ważne z przyczyny użytku jaki mają w oznaczeniu południków magnetycznych. Śledząc postęp nachylenia igły od Paryża ku północy, poznano, iż biegun południowy igły zniża się coraz bardziéj pod poziom, i że to zniżanie czyli nachylanie igły rośnie z szerokością jeograficzną, tak dalece, iż w okolicach biegunowych są punkta, gdzie nachylenie jest największe i równe 90 stopni; przeciwnie, postępując na półkulę południową, natrafiamy niedaleko równika na punkta, gdzie igła wcale się nie nachyla, za temi zaś miejscami igła zaczyna się nachylać w kierunku przeciwnym ku południowi i to tym bardziéj, im daléj na południe postępujemy, blisko zaś bieguna południowego igła przybiera kierunek pionowy czyli 90 stopni. Linija krzywa, łącząca te wszystkie punkta w których igła magnesowa nie ma nachylenia, nazywa się *równikiem magnetycznym*; a punkta w których igła zupełnie do góry się zwraca, są *biegunami magnetycznemi.* *)

*) Biegun magnetyczny północny, wyznaczony w r. 1832 przez kapitana Rossa podczas jego sławnéj podróży morskiéj; leży w północnéj okolicy Ameryki tegoż nazwiska, w ziemi *Boothia Felix* pod szerokością północną 70° 5', a długością wschodnią 263° 14' względem południka Greenwich. — Biegun południowy oznaczony w r. 1841 przez tegoż kapitana na Oceanie południowym, w czasie odkrycia *Lądu Wiktoryi*, leży pod szerokością południową 75° 6', a długością wschodnią 151° 50' względem południka Greenwich. — Podług teorety-

Nachylenie igły magnesowéj, równie jak jéj zboczenie, podlega zmianom nieustannym; lecz pierwsze nie były tak pilnie śledzone jak zmiany zboczenia. Z dostrzeżeń poznano, że nachylenie zmniejszało się od roku 1671 coraz bardziéj, aż do naszych czasów. Zmianę ciągłą jakiéj podlega nachylenie igły, uważano jako wypadek konieczny zmiany w szerokości magnetycznéj, pochodzącéj od węzłów równika magnetycznego zmienionego kształtem linii krzywéj. Co do zmian dziennych w nachyleniu, Hansteen postrzegł, że podczas lata nachylenie było blisko o 15 minut łuku większe aniżeli podczas zimy; a o 4 lub 5 minut większe z rana niż po południu.

(Dokończenie nastąpi.)

cznego oznaczenia Gaussa, położenie biegunów magnetycznych jest:

Północnego . . .	pod szerokością	73°	35'
	a długością względem Greenwich	264	21
Południowego . .	pod szerokością południową . .	72°	35'
	a długością względem Greenwich	152	30

KSIĄŻKA PAMIĄTEK

znaleziona przez Gabryellę, i czytana przy kominkowym ogniu.

(Dalszy ciąg.)

II.

Zawstydziłem się trochę przy świetle dziennném za moją wieczorną wrażliwość, wstałem co prędzéj, z gorączkowych snów i marzeń czoło zimną wodą obmyłem, przebrałem się i zostawiwszy klucz mój Małgosi z którą poprzednio takąż samą i w takichże warunkach jak zmarła pani zawarłem ugodę, spiesznie wybiegłem na miasto.

O wpół do jedenastéj czekała mię ważna bardzo z mecenasem *** narada. Szło o udowodnienie prawa do kilkudziesięciu tysięcy spadku, którego nam nikt wprawdzie nie zaprzeczał, ale za którym już od miesiąca siedziałem w Warszawie i długo jeszcze posiedzićć mogłem, dzięki nadzwyczajnéj sumienności naszych prawników, którzy mi ani literki z aktów sądowych oszczędzić nie chcieli.—Przychodzę—mecenasa już w domu nie ma—spóźniłem się o pięć minut, a to człowiek bardzo wzięty i akuratny jak kompas.

— Oho! pomyślałem sobie, nie najszczęśliwiéj obejmuję w posiadłość, moje nowe pomieszkanie. W nocy śpię za mało, z rana za długo, chybiam umówionéj godziny, a może kilku tygodni marudztwa przyczyniam sobie,—kto wié czy w tém jakiego fatalizmu nie ma? I rozśmiałem się na pobratymstwo téj obawy z przesądami pani ślusarzowéj, rozśmiałem tém weseléj; że cóż mógł być za fatalizm w tym domku spokojnym, w którym mi się wszystko z wszystkiemi razem

podobało, nawet ostatnia moja znajomość pani Małgosia blisko pięćdziesiąt lat mająca, trochę dziobata, trochę za niska, trochę za tłusta, lecz taka przyjacielska, taka chętna—taka łatwa do zgody, żeśmy od pierwszéj rozmowy bardzo się polubili.

Wracałem więc powoli przypatrując się wszystkim szyldom, a droga jako codzień tak i wtedy wykręciła mi się na Danielewiczowską ulicę.—Przy pałacu Załuskich silniéj mi serce w piersiach zastukało, bo tam w oknie którém pierwszego piętra na lewo, mogła właśnie bardzo biała ręka spuszczonéj podnosić story, mogła bardzo piękna głowa na zakratowany wychylić się dziedzieniec.

Bodajto te miary czasu tak zmienne w swojéj wartości! Do Mecenasa przybyłem za późno, tutaj za wcześniebym przybył—gdyby jednak?... Pięć minut po jedenastéj minęło.—Pójdę się tylko zapytać o zamiarach na wieczór dzisiejszy. — Przez chwilkę stałem. — A któż tak nie stał? Dziecinny, niepewny, śmieszny, w rozmysłach u podwoi swéj wybranéj jak przed świątynią swego bóstwa.—Szczęśliwa bałwochwalcza młodości chwila! Tymczasem mnie stojącego potrącił jakiś pan z podwórza właśnie wychodzący.

— Przepraszam.

— Nic nie szkodzi.

I obadwa uchyliliśmy kapeluszy, i obadwa z uchylonemi zostali przypatrując się sobie, przypominając zpół-uśmiechem, zpół-kłopotem.

— Jeźli się nie mylę, rzekłem...

— Zdaje mi się, odpowiedział...

— Pan Romuald....

To Ludwik!—i ramiona wyciągnęły się do wzajemnego uścisku.

Romuald był *Jéj* bratem, znaliśmy się w szkołach jeszcze, potém nas wypadki życia rozdzieliły,—słyszałem tylko o nim, że utalentowany artysta, dla wykształcenia się w muzyce na lat kilka za granicę pojechał; ja zaś dopiéro w czasie jego niebytności, ze wsi gdziem przy matce gospodarzył Warszawę odwiedzając, poznałem się z jego siostrą.

— Zapewne do nas szedłeś, rzekł żartobliwie w oczy mi patrząc, Marya Regina miała przeczucie, że cię wcześniéj dzisiaj zobaczy in gratiam święta mojego powrotu.

— Alež to powrót zupełnie niespodziewany, przed wczoraj był list od ciebie.

— Z Berlina ośm dni temu jak pisany... toć przecież nam Muzykom wolno temat życia waryować.

— Szczególniéj, gdy jak na teraz w tak miłym ułożą go tonie.

I wymieniając wzajemnie oderwane słowa weszliśmy do bawialnego pokoju, w którym Marya Regina schylona nad ogromną paką, przerzucała w zwojach nót swego brata.

— A widzisz Romualdzie, rzekła do niego, ku mnie rękę na szczerego powitania uścisk wyciągając, wszakże ci mówiłam, że pan Ludwik nie długo przyjdzie, bo mu się jego cząstka w radości dobrych przyjaciół należy.

— Niech pani za tę myśl i za to proroctwo z chwili dzisiejszéj podobnych całe życie się złoży.

— Złe życzenie panie Ludwiku, chwile podobne nudne chwile.— Wiesz przecie, dodała z uśmiechem, że ja dnia najszczęśliwszego dwa razy bym przeżyć nie chciała.

I wskazawszy nam miejsca sama do zaczętego przeglądu wróciła. Usiadłem trochę smutniejszy niż w pierwszéj mego wejścia chwili, bo ostatnie jéj wyrazy przypominały mi niedawną rozmowę, w któréj nie mogliśmy się zgodzić, a w któréj szło nam właśnie o trwałość wrażeń, o świętość uczucia.—Ona, kobieta, broniła wszelkiéj zmiany, w zmianie czyli przemianie, jak się wyrażała, był dla niéj jedyny, prawdziwy postęp i rozwój życia. Zaiste! sam dzisiaj wiem najlepiéj, że miała słuszność w bezwzględném, oderwalném słów tych znaczeniu—lecz wtedy *mnie* i od *niéj* coś podobnego usłyszéć.... kiedy serce w wieczność jednego rzutu oka wierzy, kiedy ma w nadziejach nieskończoność dla każdéj chwili szczęścia—odwagę choćby przeciw nieśmiertelności... To proszę jakżeż się smucić nie miałem? —

Ach! co to za czarodziejska była ta Marya Regina, bo tak ją zawsze dwu imieniem w rodzinie i między bliższemi znajomemi nazywano.

Przy ojcu od dziesiątego roku po matce sierota, z bratem tylko dwa lata starszym wychowana, samoistnie prawie ukształciła się na peł-

ną wdzięku i siły kobietę. Nigdy nie zapomnę téj chwili, kiedy ją pierwszy raz w loży wspólnéj naszéj znajoméj zobaczyłem. Od sceny siedząc, bokiem się ku niéj zwróciła, a w tém poruszeniu futrzana peleryna osunąwszy się nieco, ciemno-brunatnym obwodem spadek prześlicznéj długiéj szyi i okrągłość ramion odznaczyła. Śnieżysta białość jéj cery, świeżéj choć jednostajnie bladéj zadziwiała przy czarnych, ale to jakąś metaliczną, granatową czarnością czarnych włosach. Koloru jéj oczu jak wtedy, tak długo potém rozpoznać nie mogłem. Trzymała je ciągle ku sławnéj naszéj aktorce zwrócone, i kiedy Ritta Hiszpanka zdradzona, wyśmiana, jednym słowem obelgi policzkuje zwodziciela, ona z krzesła się uniosła, lekkim rumieńcem zakraśniała i entuzyastka artystka, artystce silnie w obie klasnęła dłonie, potém dopiéro jakby na świadectwo swemu uniesieniu spojrzała ku nam, lecz tyle światła łamało się w jej źrenicach, tak były lśniące, promienne, że nie czarne, nie błękitne, ale dyamentowe mi się zdały. I były to prawdziwie oczy jéj duszy, bo teraz nawet gdy sobie chcę wytłomaczyć tę kobietę, zawsze mi dyamenty, zawsze jéj spojrzenia na myśl przychodzą; tak równie czysta, jasna, piękna, a jednakże tak równie i kamienna była. Dyamentu własnością, ona także pod promieniem słońca mieniła się w tysiączne blaski swéj fantazyi, jakie wrażenie na nią padło, w takiego barwę przeoblekała cały świat swój na około, a barwy zawsze cudne choć coraz inne, nieujętne, migotliwe—zwyczajnie jak połyski dyamentu—jak połyski dyamentu, bo nawet z nazewnątrz, odbiciem tylko świecące—a czem jest dyament w istocie swojéj?... węglem i x. niewiadomą—a czem ona była w treści ducha swego?... mnie się zdaje, że była wielkim talentem, wielką pychą i... tajemnicą! Obdarzona mistrzowskiéj potęgi wyobraźnią, przywykła do zupełnéj w czynach i myślach niezawisłości, nigdy przecież w nadzwyczajność z ubitéj nie zboczyła drogi, nigdy za określone towarzyskiemi wymaganiami nie przestąpiła granice, lecz za to w ów powszedniości obręb, ściągnęła tyle sobie tylko właściwéj poezyi tak zekształtowała najpospolitsze życia zdarzenia, tak z wszystkiego co ją otaczało nowe umiała wyciągnąć żywioły, tak tworzyła czy przetwarzała, że nigdy rozsądniejszéj i dziwaczniejszéj nie zdarzyło mi się widzieć kobiety. Od kołnierzyka co potrójném pu-

szkiem tiulików i koronek jéj szyję obejmował, aż po sztalugę, na któréj schnął olejny, trupią głowę między kwiatami przedstawiający obraz, wszystko w jéj ubiorze, w rozstawieniu jéj mebli, w rozkładzie jéj codziennych zatrudnień, było jakby niespodzianie zaimprowizowane, jakby czarnoksięską laską wywiedzione z krainy cudów i piękna. Ona sama w tym świecie własnych pomysłów wysoka, dumna, czy téż pełna godności, prawdziwa *Dziewica—Królowa Marya Regina* jak ją nazywano chrztem kościoła z przypadku, a sądem przyjaciół z podobieństwa, zdawała się prawie obcą na ziemi w poezyach wymarzoną istotą—i to wszystko w niéj było ogniem, czy jak tam jubilerowie mówią, wodą dyamentową.—Lecz w stanowczych chwilach życia, owa istota miała tak zimny pogląd na rzeczy jak cięcie skalpelu; wcześnie zarząd ojcowskiego domu objąwszy, wyrobiła w sobie jakąś przenikliwą zręczność, jakiś sąd męzki i niezachwiany w zakierowaniu rodzinnemi sprawami i to w niéj było skamieniałością dyamentową...—ale na cóż ja piszę dzisiaj to, czego wówczas nie myślałem?....

Wówczas, siedzieliśmy na przeciw siebie z Romualdem, przypatrując się jeden drugiemu, bo po kilku latach odnawiać znajomość, to trudniéj daleko niż zupełnie nową zabierać. — Marya Regina opodal stojąc, półgłosem nuciła przeglądaną muzykę a w ustępach rzucała oderwane wyrazy do naszéj bardzo obojętnéj rozmowy.

— To andante grałeś na ostatnich imieninach naszéj matki, i ułożyłeś fantazyą do pierwszego swego koncertu, proszę cię, nie każ go nigdzie drukować... mnie daruj, schowam, bo to rodzinna pamiątka.. —Jak widzę po téj stronie, są wszystkie twoje sztuki, a tutaj sam Lipiński...—Ach! przypominam sobie kiedy grałeś w tym kwintecie prześlicznym byłeś chłopcem, teraz zbrzydł mój Romuald—wszak prawda panie Ludwiku? aż mię wstyd żeśmy tacy do siebie podobni...

W istocie, podobieństwo rysów było zadziwiające, kiedy się jedną twarz przy drugiéj widziało, lecz osobno każda z nich tak była różna wyrazem, że się wcale nie przypominały wzajemnie. Młody artysta blady i brunet jak siostra, był daleko chudszy, wątlejszy. Profil jego ostrzéj narysowany zdradzał nierównie draźliwszą naturę. Linija, która od trochę pochylonego w tył czoła po klassyczno orlim nosie bie-

gła, prędko łamała się ku dość wydatném ustom i może zakończasto odcinała nieco wystającą brodę. Zlekkiego drgania skóry na kościach policzków wyciągniętéj, z cieniu, co siném półkolem, wpadłe, więcéj jaskrawe niż jaśniejące oczy podkreślał, łatwo można było się domyślić przejścia wielu gwałtownych czasem, zmiennych zawsze wrażeń i namiętności.—W duszy Maryi Reginy przeczuwał każdy jakiś grunt niewzruszony, stały, ciągle tożsamy pod przemienną fanatyzowania powłoką—niedosięgnięty i nie skłucony nigdy—tutaj widać było, że każde wstrząśnienie aż do głębi całą mąciło naturę—że ta natura nigdzie nie miała pewności ujęcia, oparcia. — W téj chwili jednak dla wszystkich, którzy go z dawną jego młodzieńczą świeżością porównać nie mogli, Romuald bynajmniéj na zarzut swéj siostry nie zasługiwał—piękny był i ową nerwową dziwacznością swéj fizyognomi i tą smukłą, niedbale w ramiona szerokiego fotelu rzuconą postacią—piękny nawet pięknością białéj ręki, wązkiéj, ulazurowanéj przejrzystemi żyłami, zakończonéj w długie przy paznokciach różowe palce, któremi od czasu do czasu męszał krucze swych włosów pierścienie lub gładził śliczny i lśniący jak jedwab wąsik.—Te tak często u innych mężczyzn przesadą tchnące poruszenia, u niego miały właśnie wdzięk naturalności, bezwiedzy i zapomnienia o sobie, bo to była także jasna, promieniejąca pod światło iskierka — tylko że nie z kamienia— ale... ale z kropli rosy.

Roześmiał się głośno na odpowiedź swéj siostrze i niby z niedowierzaniem zapytał mię:

— No, a ty Ludwiku, jakiegoż zdania jesteś?...

— Ja ciebie tylko dzieckiem i niedorostkiem znałem, czy zbrzydłeś nie wiem, ale bardzo się zmieniłeś.

— Oho! pan jak widzę, zręczny dyplomata, zapewne to moje podobieństwo z Maryą Reginą tak mu usta wiąże.

— Mylisz się Romualdzie, dla mnie między wami żadnego nie ma podobieństwa.

— Jeśli tak, to możesz się pochwalić najoryginalniejszym sposobem patrzenia na ludzi, ręczę ci, że zawsze będziesz sam jeden swego zdania.

— Więcéj ci nawet powiem, między tobą, chłopcem siedmnastoletnim, którego po raz ostatni na uroczystości szkolnéj widziałem, a tobą dzisiajszym mężczyzną... nie śmiéj się ze mnie, ale jak gdyby ciągu żadnego nie było, jak gdyby się coś zerwało, jak gdybyś nie wyrosł tylko stał się innym.

— Przyznam się, że lepiéj trochę zrozumiałem gorzką prawdę mojéj siostry.

— Ja ci radzę, odezwała się znowu Marya Regina, żebyś bardzo uważnie w tym przedmiocie pana Ludwika słuchał—to prawdziwy fizyonomiczny talent, a niedawno wszystkie dzieła Lawatera odczytywał.

— Czy tak? a więc proszę cię mój dobry, mój kochany Ludwiku, co to się zerwało między dawnym studentem a najpokorniéj kłaniającym ci się muzykusem?

— Nie ufajże zbyt ślepo zaręczeniu panny Maryi Reginy, mój talent co do sztuki Lawatera jest jeszcze w zupełnie rodzimym stanie, żadną nie wsparty nauką.

— Bez przyczyny jednak nie zrobiłeś téj uwagi, więc mi przyczynę powiedz tylko.

— Oto przypomniałem sobie, jakie wtedy zrobiłeś na mnie wrażenie.—Czy pamiętasz? podczas mszy na chórze, ty wróżący już znakomitego artystę grałeś na skrzypcach—ja śpiewałem z innemi—przed podniesieniem wypadło ci piękne pełne uroczystości solo, a na odgłos dzwonka długa pauza, w czasie któréj odzywał się tylko czysty, srebrny sopran małego Adasia.—Nie, ja nigdy nie zapomnę jakeś w téj chwili nieme skrzypce do piersi przycisnął, jak spojrzałeś w górę ku wybiegłém sklepieniom kościoła, jak byłeś dumny, silny, zachwycony.—Odtąd ile razy pomyślałem o tobie dalekim i kształcącym się, to mi zawsze ta chwila obrazem wracała, rozwijałem ją w prawdopodobne następstwa i zdawało mi się, że jak cię spotkam będziesz jakoś wyższy, poważniejszy, że ci twarz bardziéj zżółknie, włosy trochę zrzednieją, czoło więcéj się odsłoni.

— Że się prędzéj zestarzeję.—Wdzięczny panu za przepowiednią a sobie za to żem jéj nie spełnił—i uśmiechnął się, lecz niewyraźnym smutnym prawie uśmiechem.

Po tych jego słowach nastąpiła chwila milczenia, bo każdy się o swoich wspomnieniach zadumał, a Marya Regina wziąwszy jakieś pisane nuty do ręki także coś widać głęboko i tęschno marzyła.

— Romualdzie, rzekła nakoniec, to jest jéj ulubiona wielkopolska piosneczka.

Romuald spojrzał na papiér i brwi mu drgnęły jakby do zmarszczenia.

— Nie wyjmuj tego Maryo Regino, nigdy jéj nie grywam, może na spodzie zostać.

Marya Regina prędko zwinięty krążek do paki wsunęła i porzuciwszy wszystko przy nas usiadła.

— Pana Ludwika zatrzymuję na objad, rzekła z uprzejmością, a potém jeśli mi wolno resztą dnia jego rozrządzić, to go mianuję aż do wieczora przewodnikiem a po części i mentorem mego brata.

— Okropnie złe dajesz mu o mnie wyobrażenie, takim brakiem zaufania.

— Najpierw niech cię to nie obraża, chociaż młodszy od nas obojga (a w istocie rokiem od Maryi Reginy młodszy byłem—często w żartach, czasem i w poważniejszéj rozmowie sama mi to przyminała, nawet urościła ztąd sobie prawo do pewnéj moralnéj towarzyskiéj nademną opieki, któréj ja zaczarowany, owładnięty, bezwarunkowo się poddałem) chociaż młodszy mówię, pan Ludwik poważny jak Kato, a surowy jak Purytanin — szesnastoletnia dziewczynka mogłaby się jego przewodnictwu powierzyć, a mnie bardzo chodzi o troskliwą dla ciebie opiekę, wy artyści zawsze coś na powietrzu słyszycie, lub widzicie, a żaden z was nie wie jak po ziemi nogi stawiać. Przydaję ci więc pana Ludwika dla obrony, bezpieczeństwa i dobréj rady.—A téj ostatniéj, rzekła do mnie się zwracając, zaraz nawet żądać będę, bo wyobrazi pan sobie, Romuald pomimo wszelkich próźb moich nie chce dać koncertu.

— I dla czegóż to? spytałem.

— Dla czego? dla czego? z widoczną niecierpliwością powtórzył, a dla czegóż ty nie chciałeś nam nigdy swoich wierszy głośno w klassie przeczytać?

Marya Regina z zadziwieniem spojrzała na mnie. — Aa! — to pan wiersze pisze?

Zaczerwieniłem się jak piwonja.

— Dawniéj napadało mię czasem to szaleństwo, lecz przy wzmocnionym rozumie zupełnie się z niego wyleczyłem. Jeśli zaś wtedy niechciałem przed wami prób moich pokazywać, to najpierw dla tego Romualdzie, że nie czułem w sobie talentu, że to była raczéj potrzeba ulania przepełniających moje serce uczuć, niż jakie poetyczne natchnienie, a nakoniec, że z natury rzeczy dozwolóne jest człowiekowi myślić i pisać w cichości, lecz muzyka muzyką na to, by się jéj słuchało—dźwięku nie schowasz do pudełka, nie zamkniesz w pokoju, dźwięk ci przez dziurkę od klucza, przez szpary okien między ludzi ucieknie, bo to ich własność, więc ja ci mówię, że grać powinieneś, kiedy grać umiesz.

— Paradoxa, paradoxa mój drogi!—Nazwij mię Paganinim, Ole-Bullem, Vieuxtanem, to ci dam i nie jeden koncert w Warszawie. Ale tak na afiszu ogłosić się tylko Romuald * * *; słyszyć może jak czytający będą między sobą pytali:—„Romuald?.. co to za jeden?—Ja go nie znam."—„A ty?—czy pójdziesz?—Idź, niech się dowiem od ciebie najpierw, czy warto posłuchać."—Bardzo, bardzo państwu dziękuję....

— Podrzędne to względy, odrzekłem, jeśli tylko pewny siebie jesteś, cóż cię może dziwić albo gniewać: zimna obojętność takich co cię nie znają, daj się poznać właśnie.

— A komu? ze dwudziestu próżniakom, którzy dla zwyczaju lub na uproszonego się zejdą, którzy mię nie zrozumieją, przy których ja nareszcie źle grać będę, bo to dziwna rzecz, że kiedy już są słuchacze jacykolwiek, to między nimi a grającym magnetyczny tworzy się stosunek; przy znudzonych, niechętnych, głupich, on musi fałszywie rzempolić. Nie, nie, ja tu nie dam koncertu.

— A za granicą dawałeś? za granicą od razu licznie pojmująca i ceniąca otoczyła cię publiczność.

— Oh! to zupełnie co innego, kiedy występowałem w Dreznie, Munich, Berlinie, ożywiała mię nadzieja jeśli nie europejskiéj sławy, to przynajmniéj pobratania się z tamecznemi mistrzami, utworzenia sobie wśród nich stosunków i znajomości—oni chrzest wziętości dają imieniowi artysty, i stopień jego między sobą znaczą, lecz tutaj—

tutaj gdzie ani na imię, ani na stopień zarobić sobie nie można, cóż mi będzie pobudką i zachętą?...

— To Romualdzie, że w wielkiéj czy w małéj liczbie, rodacy cię słuchać będą—od obcych możesz głośniejszą wziąść sławę—swoim dać możesz głębsze i prawdziwsze wrażenie.

— Pan Ludwik ma słuszność, wielką słuszność, powtórzyła Marya Regina stanowczym głosem.

Romuald śmiać się zaczął.

— Jeśli o to wam idzie, żeby mnie moi mili ziomkowie słuchali, i żebym na nich wielkie wrażenie zrobił, to mi się zdaje, że najlepiéj w myśl waszą trafię, jak stanę na środku Krasińskiego placu, albo téż pod Zygmuntem, bliżéj starego miasta—sami przyznajcie, że licząc w to wszystkich uliczników, najwięcéj wtedy rodaków mnie słuchać będzie, a jak im utnę krakowiaka; to niezawodnie silniejsze wrażenie zrobię niż arcydziełem Paganiniego.

— Czemuż nie? odpowiedziałem zimno, bo mię jakieś oburzenie na taką myśli mojéj parodiję przejęło—jeśli jesteś artystą i pojmujesz muzykę, to najlepiéj wiesz zapewne, czy to jest jakieś ugodne przebieranie akordów, któremi się tylko znawcy między sobą rozmawiają, czy téż głos w piersiach natury podsłuchany, język wszech-bóstwa, który wszech-światu zrozumiałym bywa, którym się do mass, do tłumów przemawia. Ja, Romualdzie, gdybym umiał według méj woli smyczkiem twoim władać, to ci się przyznam, żebym wolał pod kolumną naszego Zygmunta zagrać całemu Starego Miasta i z nad Wisły i z za Pragi ubóstwu, niż gdzieś choćby w teatrze La Scala albo San Carlo, przed Rossinim, albo nawet wskrzeszonym Mozartem najhuczniejsze oklaski zbierać—ha! prawda, że ja nie wirtuoz, że ja dalekich nie zwiedzałem krain, może największe niedorzeczności prawię.

Twarz Maryi Reginy od początku naszéj sprzeczki zdradzała jakies pomieszanie.—Ta, jakem ją sobie w duszy nazwał, dyamentowa kobieta, jeśli kiedykolwiek uczuciem serca, nie sądem rozumu ukochała kogo, to właśnie swego brata, swego Romualda, którego młodością zakierowała dowolnie, którego talent wypieściła, wyżywiła bogactwem własnych zdolności i na którego przyszłość stawiła całą swoją świetnych powodzeń i rozgłośnéj sławy nadzieję. Wiedziałem o tém i dla

tego jak gdybym to ja sam co złego powiedział, taki byłem zakłopotany, tak mię bolał lekkomyślny sposób mówienia i dręczyła samolubna drobiazgowa próżność Romualda, że nie śmiałem spojrzyć na jego siostrę.

Przybycie kilku osób wywiodło nas z tego usposobienia—ale na chwilę tylko, bo Romuald wniósł znowu porzucony do rozmowy przedmiot i odwołał się w téj mierze na zdanie pana Krzysztofa.

Krzysztof, nasz znakomity, prawy, niepoślakowany urzędnik i najpoczciwszy w świecie filantrop, łatwo zrozumiał, że Romuald nie chce dać koncertu, któryby mu sławy niewiele i pieniędzy bardzo mało przyniósł, ale téż zaraz całą wątpliwość na swoje ulubione stanowisko zwrócił i rozstrzygnął polubownym dla stron obydwóch sposobem, to jest radząc, aby na pierwsze wystąpienie grać na poranku muzykalnym, z którego dochód dla sal ochrony miał być przeznaczonym. Romuald mógł korzystnie wtedy dać się poznać najświetniejszemu i najbardziéj wykształconemu zgromadzeniu słuchaczy, a potém dopiéro, według przyjęcia, koncertowe narzucać im warunki.

Ku téj radzie dość prędko skłonił się Romuald.

— Więc jak zawsze tak i teraz woli twojéj Amen, rzekł z uśmiechem do Maryi Reginy, ale Marya nie odśmiechnęła mu się wzajemnie, cichym tylko głosem, którego ja sam jeden pojmowałem znaczenie:

— Romualdzie, Romualdzie! rzekła, miał on słuszność, nie wyrosłeś lecz innym się stałeś!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

STARY POEMAT
O GDAŃSKU.

(Dalszy ciąg.)

Styl—to człowiek,—powiedział Buffon. Prawda, ale nie zawsze. Więcéj zdaje się będzie prawdy, kiedy powiemy: Książka,—to autor. Jeżeli przyjmiemy to za pewnik, nie za paradox, to z poematu o Gdańsku jeszczebyśmy następne mogli wyprowadzić wnioski o samym autorze:

Był to człowiek dosyć wesołego usposobienia, lubo nieszczęśliwy, bo wygnaniec. Więcéj miał przywiązania do swoich opinij religijnych, jak do ojczyzny. Lubił pochlebiać ludziom postawionym wyżéj nad ogół, bo ufał i spodziewał się protekcji. Był przyjacielem wesołéj pogadanki i wina. Co do swojego usposobienia naukowego,—umiał dosyć po łacinie, obeznany był z Horacym, Wirgilim, Nazonem, Sarbiewskim, Sannazarem. Często całe wiersze tych rymotwórców przytacza w swoim poemacie. Ale za to nie miał żadnego wyobrażenia o poezyi. Kuł swoje dzieło podług formułek. Język łaciński i styl w poemacie nieczysty; pełno słów obcych,—wszystko bez ładu, bez porządku. Nie było planu w całym układzie poematu; kończy jedno, zaczyna drugie, żeby potém znowu powrócić do tego, co przerwał. Żadnego obrobienia nie widać, znać wszędzie nadzwyczajny pośpiech: poemat zawiera do 2000 wierszy, a skończył go autor w ciągu trzech niespełna miesięcy i wydał przez wdzięczność, za przyjęcie, jakiego doznał w murach gdańskich. Był Wacław i majętnym dosyć, kiedy poemat wydawał własnym kosztem—może mu też dopomógł co i teść przyszły. W poemacie dużo zagadek, igraszek prawie dziecinnych.

Są w nim wyrazy wzięte z mowy ptaków. Chciałże Wacław swój poemat ozdobić we wszystkie kwiaty zmyślenia i poezji? Szukał może harmonii naśladowczéj? Są tam i inne ciekawe wyrażenia. Bierze często jeden wyraz,—rzeczownik np. dobiera do tego wyrazu, słowo, przymiotnik, imiesłów z jednego źródła pochodzący i stawia to wszystko obok siebie. Są całe wiersze, w których jeden tylko pierwiastek wystarczy na oddanie myśli całéj w kilku wyrazach. Jest-że i to harmonia naśladowcza? Ale jakież to znowu dziwne pojęcie poezji?

Czasami jest rzewny, tkliwy nasz poeta, ale to bardzo czasami. To dowodzi, że i nieuk i kamień nawet mówi wymownie, kiedy mówi z uczucia.

Poemat napisany hexametrem,—carmine heroico. Ma więc jakieś pretensje do epopei. Ale hexametr ten nie zawsze gładki, bo zwykle połamany, pokręcony dziwacznie, popstrzony wyrazami obcemi, którychby nikt z Rzymian nierozumiał, a więc i podług iloczasu wymówić nie potrafił. Styl pstry, dziki, jak dzika myśl, co poemat zrodziła.

Już zaraz przedmowę do Senatu Gdańskiego, nasz autor zaczyna jakimś tonem dziwnym, deklamatorskim, a pełnym pochlebstwa:

—„Przyszedłem do waszego miasta, Mężowie szlachetni, Wielmożni, ludzcy i chrześciańscy Konsulowie, Senatorowie, Ławnicy, Stumężowie, do Was, całe grono obywateli;—przyszedłem, mówię, do tego sławnego a królewskiego grodu, początkami dosyć starożytnego, budowlami bardzo pięknego, towarami obficie obciążonego, żywiącego moc obywateli, usilnie sprzyjającego cnocie, z hojnością podejmującego ludzi uczonych *)—do grodu, który widzieć już oddawna pragnąłem,—przybyłem zapóźno i późniéj jeszcze jak chciałem,—ale uciekając przed burzami niemieckiemi (bo taki nasz wiek, że z burz tylko burze sieje), nawet i w tym zakącie Europy znalazłem burze...."

Pisze daléj:

*) Oto próbka stylu rymowanego autora: Veni inquam, in hanc illustrem ac regiam URBEM, origine satis vetustam, aedificiis apprime venustam, mercimoniis affluenter onustam, Civibus abunde frequentem, Virtuti luculenter faventem, Eruditos liberaliter foventem, cujus videndae desiderio jam dudum flagrabam......

„A kiedy nie mogłem niczém się przyczynić do uspokojenia nawałnicy, udałem się do modlitw gorących, téj jednéj a spólnéj wszystkich zasmuconych ucieczki. Prosiłem Boga Najwyższego, żeby się ulitował nad bolejącym kościołem (którego tutaj gniazdo, siedlisko i znakomity widzę przytułek), żeby podał jakie warunki pokoju, żeby pomiędzy umysły stronnictw, pomiędzy oręże nawzajem sobie grożące, wrzucił na tych miejscach, jeżeli nie zgodę wieczną, to przynajmniéj pozory zgody,—dla naszego szczęścia, żebyśmy wygnańcy z własnéj ojczyzny, którzy tutaj jakby czasowo przesiadujem, mieli gdzie, z kim i u kogo przepędzić ostatnie dni życia. I Bóg Wszechmocny wysłuchał żałościwe modlitwy nasze"—bo spokojność na Pomorzu ustalił.

„Przyszedłem więc do tego grodu, po utrwaleniu pokoju, uzyskawszy wolność udania się na wszystkie cztery strony świata (ultro citroque), pod sam wieczór prawie schodzącego a burzliwego 1629 roku i kiedy Gdańsk raz i drugi przejrzałem (bo to mam za rzecz świętą a wspólną tym, którzy podróżują nie ciałem tylko, ale także i umysłem, nie jak pająki, a jak pszczółki), znalazłem miasto zupełnie takie, że może walczyć nie tylko z wielą miast niemieckich, ale nawet z celniejszemi Europy, które tyle podziwiamy, wspaniałością i majestatem, może się równać z wielą nawet sławnemi grodami i pod względem porządku, piękności, wdzięku budowli, rozległości swojego położenia, liczby ulic, siły murów, obfitości towarów, wygody portu, napływu bogactw, przemysłu i gościnności swoich mieszkańców, zbiegowiska cudzoziemców i kupców. Gdańsk może zrównać wielu miastom Europy, a nawet wiele przewyższać. A więc, zdaniem mojém, pierścioneczek tego zakątka, albo perła pruskiego pierścioneczka. Gdańsk, może się słusznie nazywać rajem Baltyckiego morza, rozkoszą, ogrodem, oczkiem miast Baltyku, gwiazdą i jakby dopełnieniem tych okolic Europy."

Takie zalety Gdańska natchnęły poetę. Ułożył plan na arcydzieło, ale brak czasu i sexcenta incommoda alia, przerywały mu pracę. Rosł jednak pod rękami materyał i rozrósł się na cztery pieśni. Tak pisze o tém swojém dziele poeta: „Przyznam to szczerze, że starałem się religijnie, żeby poema moje było poetyczne i za takie uchodziło. Mam

chęć poddać się sądowi poetów więcéj uczonych mających zmysł poetyczny (poeticas aures) i mózg dobrze posypany solą mądrości. Nie podoba mi się Lucilius, który miał zwyczaj mawiać, że nie chce dawać pism swoich do czytania ani nieukom, ani uczonym, bo nieucy nie pojmą myśli, a uczeni zechcą więcéj, jak to co im dał autor. Ja i jednym i drugim swoję ofiaruję pracę.... Chcę ich i bawić i uczyć, bo ten jest cel poetów. Wymysł ma być duszą poematu,—u mnie jest on prosty, ale nie bezbarwny. Słów zastarzałych, wyszukanych nie używałem. Miałem za skrupuł religijny, używać wyrazów dawnych, przyjętych na forum Rzymskiem, według przepisu mędrców, którzy każą w codziennném pożyciu korzystać z wymowy starożytnéj, a karmić się tylko nowemi potrawami. Niezaniedbałem przecież figur poetycznych. Chropowatości dla wypieszczonych uszu nieznośnéj unikałem.... W naszych czasach, barany—wierszoklety (verveces versileguli), mniéj błądząc po ogrodach poetów złotego wieku (których tyle czcimy, podziwiamy, naśladujemy), a zanurzeni w brudnych tylko kałużach nowatorów, podają czytelnikom utwory bez rozsądku, a błąd ten widoczny w naszym wieku erudycji, jest niepodobny do zniesienia. Błąd to, bo jest tutaj grzech jawny przeciw powadze uczonéj starożytności, z któréj grammatycy wyciągnęli prawidła języka. Fikcja nareszcie, użyta przezemnie zwyczajem poetów, nie ujmuje nic rzeczy, a czasem podnosi ją, ozdabia, upiększa......"

Po tém wszystkiém, zdawałoby się że nasz autor umie po łacinie i ma zmysł krytyczny.

Tutaj następuje pochwała Wenecji i epigramma Jakóba Sannazara o téj pięknéj niegdyś władczyni Adrjatyku, o któréj powiedział Neptun do Jowisza: „twój Rzym zbudowali ludzie, moją Wenecję Bogowie." Za każdy wiersz tego epigramatu, kazał Sannazarowi lud wenecki wypłacić po 100 dukatów. Nasz wierszopis porównywa się z poetą włoskim:

„Tyle dowcipu może kto zechce poszukać w przydłuższym moim poemacie? Sprawiedliwie,—niech poszuka. Ależ nie jestem Sannazarem,—jestem tylko nikczemnym, bez sławy, błąkającym się gościem, a nie poetą, chociaż dziwny los kazał mi poetyzować (poetisare—i

dodaje zaraz: barbare, de me Barbaro loquor). Boć i Gdańsk, który ledwie komu miejsca ustąpi, nie jest Wenecją. Wenecja zdobi Italię, rozsiadłszy się na M. Adryjatyckiem, dumną władzą panuje w około; nasz Gdańsk Prussy i całą Sarmacyę uświetnia,—położony nad Baltykiem, przy ujściu Wisły (króla rzek sarmackich), nie jest on morza królową, bo nigdy nie był tak dumny i nie kusił się o panowanie,—ale wolny prowadził handel i z sąsiadami zachował przyjaźń, pokój, stosunki, ze czcią dla swojego imienia.... Nie mogę zatém powiedzieć, że Sannazar napisał lepiéj odemnie, chociaż przyznać muszę, że szczęśliwiéj, bo tego dowodzi sama nagroda." (Delikatna przymówka!)

Jednak utrzymuję z pewnością, że i w moim poemacie jeżeli nie wiele, jeżeli nie tyle co w Sannazarze, jeżeli nie miarka, trzy miary, to pół miarki, to uncja, to przynajmniéj pół uncji jest dowcipu... Bo i Gdańsk nasz, jak nic nie ujmuje Wenecji, tak znowu nie ma tak szczupłych zalet, żeby zupełnie jéj we wszystkiém ustąpił.... Pisaliby inni lepiéj, łatwiéj, szczęśliwiéj,—nie żałujem jednak, żeśmy i my pisali.... Nie odmalowaliśmy miasta w kolorach żywych rzuciliśmy tylko szkic lekki a niezupełny. Dużośmy przepuścili w opisie naszym, bośmy o wielu rzeczach nie wiedzieli... brakowało talentu... niechaj pisze kto inny lepiéj...."

Przeprasza daléj autor za niepoprawność i nieład poematu (sicub versus versi, inversi, subversi, crus fregissent, aut alteropede mutil breviores, longioresve extitissent). Tłumaczy to położeniem swojém. Samotny, wśród obcych stanął na gospodzie u człowieka, który wcale nierozumiał poezji, — w jednéj izbie siedział nasz poeta z rodziną gospodarza i z dziećmi małemi co przeszkadzały natchnieniu. Cały ten ustęp dość wymowny jeszcze dla próbki stylu łacińskiego przytaczamy w oryginale: cum liberis parvis saepe pipientibus, papillantibus, zinzillantibus, saepius omnibus punctim complorantibus — interdum etiam cum Bubonibus bubantibus, vervecibus balantibus, Porcis grunnientibus, Ranisque coaxantibus; frequenter cum militibus, Leporibus galeatis, sua egregia, (si Dis placet) facinora, quae nusquam in rerum Natura, merumque ENS - non ENS erant, cum pejeratione, et Diabolici Nominis invocatione depraedicantibus....

Miałżeby to być obraz domowego pożycia przyszłego teścia poety? Pisał więc w nocy, — i mało miał czasu bo zaczął robotę na Nowy rok a skończył w niedzielę Quinquagesima—wylał te przeszło 2000 wierszy hexametru, prócz epigramatów, które liczbę wierszy do 3000 podnoszą. Zaprawdę, żelazna praca w położeniu autora! Opowiada te wszystkie szczegóły autor, żeby zawstydził *Stentora krzykliwego, któryby chciał szczekać na jego nocne trudy*. Dodaje więc, że Gdańsk nie wzrósł do swojego znaczenia w ciągu dnia jednego, miesiąca, roku, stulecia, a więc tém mniéj można go było odmalować w ciągu dnia jednego, miesiąca, farbami poezji. Cóż więc dziwnego, że nie zadosyć uczyniłem wszystkim, mówi dalej: „kiedy sam sobie niepodobam się i stąd oskarżam raczéj niż tłómaczę niezmierny brak talentu." Kończy się przedmowa pochlebstwami dla Senatu Gdańskiego i utyskiwaniami, że dzieło nieodpowiada wielkości przedmiotu. Obiecuje autor napisać coś więcéj i lepiéj, zwyczajem dowódcy floty, który przodem przed sobą wysyła szalupę na znak, że płynie ku brzegom. Podpisał się pod przedmową, którą kończy apostrofą pochlebstw dla Senatorów: „Wspaniałości miasta i cnot waszych czciciel i ciągły podziwiacz Wacław Klemens, wygnaniec dla imienia Chrystusa."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOWOŚCI.

Wyszło w Gliwicach dziełko p. t. *Nauka pisania listów*, czyli praktyczna wskazówka do sporządzania wszelkich w zwyczajném życiu zachodzących piśmiennych czynności, tak prywatnych i kupieckich, jakoli też urzędowych i sądowych, tudzież *zbiór wzorów* do wszelkiego rodzaju listów, podań, skarg, układów, kwitów, świadectw, rachunków, zapisów, wekslów i t. p. przez X. F. A. E. Łukaszewskiego, Nauczyciela języka polskiego.